

Zapładnianie słów

Słowa we współczesnej poezji zostały właściwie uwolnione od wcześniejszych znaczeń semantycznych, choć procesy te miały również miejsce we wcześniejszej twórczości literackiej. Dzisiaj jednak owo uwolnienie zostało poddane totalnej woli osoby autora. To on niemi dysponuje i nie musi liczyć się do końca z warunkami kontekstualnymi tworzonych przez siebie narracji. Nie znaczy to jednak, że nie pozostawia swojego śladu w tworzonych wersach i metaforach, które generują natłoki przeżyć, którym jest nieustannie poddawany, stają się przysłowiowym słowokreatorem. Nie ma wątpliwości, że **Janusz Szot** jest notorycznym podglądaczem świata, w którym jest również głęboko zanurzony. A w wierszu otwierającym tomik pt. „Podglądanie stworzenia” deklaruje: *Przez źle / przybite deski / odkrywam / tajemnice*. To bezpośrednio organiczne zanurzenie poety samo przez się powoduje, że każdy wers jego utworów od zaraz staje się źródłem metafizyki naszej powszechności.

Tak błędząc po świecie poeta mimowolnie podąża za sensem swojego, ale człowieczego istnienia, które ze swej natury są przemijające. W tym posuwaniu się do przodu dokonuje owego „zaciągania” słów, by rodziły kolejne; by pozwalały po wielokroć dokonywać „odkryć”, które przecież były już odkryte. W każdym bowiem momencie naszego bytowania w świecie odległość do piekła i nieba – podkreśla autor – jest „ta sama”. Szot łączy swoją sztukę poezjowania z muzyką i śpiewem, dając również liczne koncerty słowno-muzyczne wraz ze swoją żoną Joanną, w których to spektaklach burzone są wszelkie ograniczenia przysłowiowej „wolności słów”, a jego poezja przypomina poetyckie wokale Homera. Jednak zdaje sobie sprawę z tego, iż poeta może być „plakatowym prorokiem”, którego tłum ogółu ludzi poddaje własnym meandrom. Doświadcza również ciśnienia mediów na ludzi i twórców, którzy rozwijają znaczenia wolnych słów poza horyzontami autorskich inspiracji. Tworzy się więc coś na kształt „matni”, w której i fundamentalne wartości (miłość, przyjaźń) ulegają przewartościowaniu i budzą niepokój o ów Eden, o którym marzy każdy człowiek. Tradycyjne wartości często nas parzą. Nawet przysłowiowe „żniwa” odkrywają na ścierniskach naszego istnienia (...) *macewy / [które] uniosą głowy / zrzucając / mech / zapomnienia*.

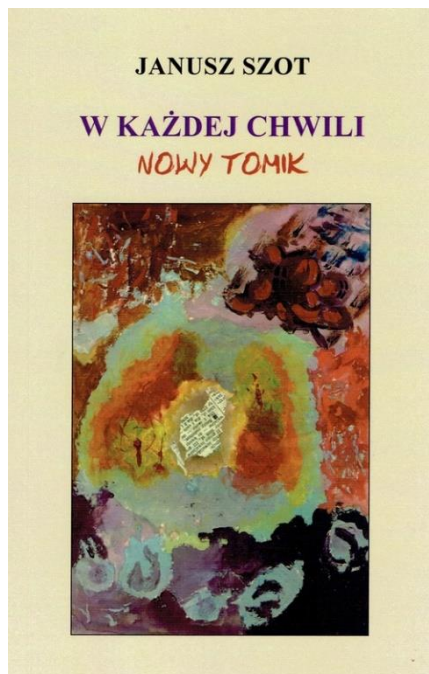
Nasze życie według Szota rozciąga się między mirażami, „czarnymi pianami” na „kolorowych ulicach”, zaś nachalność: (...) *udaje lekarza / wszechmogącego*. Najlepiej byłoby stać się powietrzem, by cokolwiek wiedzieć o naszym świecie. Dowiadujemy się również od urodzenia, że wolność jest mrzonką, zaś nasz świat to kołowrót codzienności, od którego staramy się budować perspektywy przyszłości. Pomiędzy śmieciami – odrzutami naszego bytu – cierpienie przypomina węża polującego

go na dusze i ciało. Wydaje się nam, że do czegoś ważnego zdążamy, jak przysłowiowy Don Kichot, ale w zwierciadle codzienności (nocy i dnia) czujemy, iż potrzebujemy psychoterapii, bo nie umiemy już pamiętać i zapominać. Szot odkrywa również, że kochana osoba jest dla niego jak bestseller, w którym tonie, pozostając jedynie bibliofilem i podejmując niekończący się taniec uniesienia. Dzieciństwo pojawia się tutaj jak przysłowiowa, troskliwa matka, dająca poczucie bezpieczeństwa, ale z wiekiem dzieci odcinają się od swych korzeni i nie czują, że jest to niemożliwe. Poeta również, co daje satysfakcję, przytacza naszą rozmowę przy „zielonym domu”, opustoszałym po śmierci matki. Przypomniany zostaje przyjaciel Janusz Pacewicz – „Tobi”, z którym poeta odbył onegdaj podróż autostopem nad Bałtyk, choć była ona inspiracją wielu wcześniejszych wierszy.

Nowosądecki poeta niewątpliwie kocha ten nasz świat, choć wiele razy nie chciał mu podać przysłowiowej ręki, utwierdzając go w bezsilności. Dzieli się odkryciami o prawdzie życia i śmierci, które leżą u podłoża jego inspiracji twórczych. Pochwala poezję jako światło twórczego istnienia darowanego innym ludziom. Zaś w ostatnim wierszu, od którego tomik wzięł tytuł, poeta z przekąsem peroruje: *Nie ufajcie / poetom // oni // w każdej chwili / mogą odfrunąć // i zabrać / wszystko / nie stworzone*.

Cóż – należy przeczytać ten ciekawy i wciągający tomik, by się przekonać czy ufać poetom, czy nie!

prof. Ignacy S. Fiut



Janusz Szot, *W każdej chwili. Nowy tomik*. Słowo wstępne: Stanisław Nyczaj. Oficyna Wydawnicza STON2, Kielce 2020, s. 72.



Andrzeja Saja poezja, i obok

Dwie książki poetyckie jednego autora obok siebie. Dwa tomy – nie żadne tam tomiki, jak powszechnie określa się zbiory wierszy (deklasując, deprecjonując często ich usytuowanie w hierarchii gatunków literackich), co w przypadku TEJ poezji – obrażałoby ją. Zatem – dwa tomy wierszy autorstwa **Andrzeja Saja**, wrocławskiego poety (i nie tylko, o czym dalej).

Wydane rok po roku („Oprawa światła” – 2020, „Stare zwyczajne Młode nawyki” – 2021), a przecież dające wyobrażenie o drodze twórczej autora – na przestrzeni czterech dekad, jako że pierwsza z książek, z dedykacją „Dla syna”, złożona została z wierszy, które powstawały w latach 1982-1987, wcześniej niepublikowanych. W postawie – eseju do niej, sugestywnie zatytułowanym „Poezja niemożliwa” Urszula M. Benka podkreśla, że „*Oprawa światła jest (...) notacją dialogu z samym sobą, uwolniona od premedytowanych form, jakie nadaliśmy refleksji nad światem, światłem, sensem sztuki, sensem zła, nad miłością (...)*. Saj jest bodaj pierwszym poetą zajęтым blaskiem i światłem – a nie poezją. Ale nieko w opozycji do tego stwierdzenia Stefan Jurkowski podkreślił w swojej recenzji na portalu Pisarze.pl: *...wiersze autora „Oprawy światła” wywołują pewne asocjacje, tworzą określony klimat, przekazują swoje przesłania w sposób (...) ponadśłowny. Dialog z tymi utworami odbywa się na innym, wyższym poziomie. Nie znaczy to jednak, że poetyckie słowo nie jest tu ważne, przeciwnie*.

Bo czymże innym, jeśli nie słowem poetyckim jest to mozolne dopasowywanie przez autora myśli i refleksji, z których kreuje misterne konstrukcje tego indywidualnego języka opisującego światy realne, intymne, domowe, ale i te zaledwie domyślne, z nieogarnionego obszaru metafizyki niepochwytą obecność duchowości. I duszy. Którym to słowem potrafi nazwać inaczej niż inni, odkrywco to, co jest dostępne poznaniu każdego piszącego w sposób identyczny, lub podobny. Jedną z najcelniejszych poetyckich definicji w tym tomie (przy okazji – zamiast tytułów są gwiazdki, co nie ułatwia wskazywania wierszy, a przy cytowaniu wymaga przytoczenia incipitu) jest ten oto:

przypuśćmy że trwanie jest formą istnienia materii lecz kto wymyślił światło i blask kto dopuścił się grzechu zawodności w systemie ciał poruszających się niezmiennie od wieków

*między materią a światłem przestrzeń
dopisana
wyobraźnią twórcy i w wyobraźni
unicestwiająca
wszelkie dowody na jej istnienie – więc nie ma
przestrzeni nie ma materii i światła a trwanie
jest formą poetyckiej wyobraźni
wolną od istnienia*

(Dokończenie na stronie 18)